



AUTOBIOGRAFIA nr 2 (3) 2014, s. 101–113
ISSN 2353-8694

FRAGMENTY
AUTOBIOGRAFII

WITOLD SOIŃSKI

Wspomnienia z września 1939 roku towarzysza pancernego 33 Wydzielonego Dyonu Pancernego Wilno

Słowa kluczowe

wspomnienie, wojsko, wrzesień 1939, II wojna światowa

Fragment z: Witold Soiński, *Wspomnienia z września 1939 r. towarzysza pancernego 33 Wydzielonego Dyonu Pancernego Wilno*, Szczecin 1971, mpis.

Publikowane świadectwo poprzedza dedykacja: „Kochanemu Synowi Witoldowi Soińskiemu herbu »Jastrzębiec« i potomnym w dniu imienin”. Nosi ona, tak samo jak wspomnienia, odręczny podpis „ojciec Witold Soiński”. Relację, opatrzoną datą 12 listopada 1971 roku, autor pozostawił rodzinie bez intencji jej publikacji. Jego syn – emerytowany inżynier mechanik ze Stoczni Remontowej „Parnica”, podczas rewolty Grudnia ’70 wiceprzewodniczący Komitetu Strajkowego, latem 1980 roku założyciel „Solidarności” w swoim zakładzie – w lutym 2015 roku powierzył ją redakcji „Autobiografii”. Za zaufanie serdecznie dziękujemy Panu Witoldowi Soińskiemu.

Witold Soiński – biogram

Witold Soiński, ur. 15.11.1908 roku w miejscowości Preobrezenskaja pod Petersburgiem, zm. 6.06.1991 roku w Szczecinie. Do wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji rodzina Soińskich mieszkała w Toroszyńcu koło Pskowa, gdzie jego ojciec pracował na stacji kolejowej jako naczelnik przy trasie łączącej to miasto z Petersburgiem. Po ucieczce z porewolucyjnej Rosji

jesienią 1918 roku Soińscy zamieszkali w Suwałkach. Ich syn Witold, po uzyskaniu matury w Wilnie, rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu (1930–1932). Jako podporucznik otrzymał przydział do 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich w garnizonie Wilno. Zmobilizowany został 23.08.1939 roku do Grodna, dokąd udał się razem z 33. Dywizjonem Pancernym Wilno, w którym dowodził szwadronem pancernym. Tymczasem rodzina z przyłączonego do Związku Sowieckiego Augustowa w kwietniu 1940 roku trafiła na zesłanie do północnego Kazachstanu (Oktiabrskaja Obłast). Po kampanii wrześniowej 1939 roku Witold Soiński, wraz ze swoim pułkiem osaczony przez Niemców pod Lubartowem, na początku października złożył broń, aby uzyskać honorową kapitulację. Następnie przebywał w oflagu II B Arnswalde (Choszczno), a od połowy maja 1942 roku – w oflagu II D Gross Born (Kłomino na Pomorzu). Pod koniec stycznia 1945 roku razem z grupą jeńców uciekł z niewoli, po czym w połowie lutego brał udział w walkach 4 Dywizji Piechoty I Armii Wojska Polskiego przeciwko Niemcom, najpierw w rejonie Jastrowia. Jego rodzina pod koniec czerwca 1946 roku, po trzech tygodniach podróży w bydłowych wagonach, przybyła z zsyłki do Szczecina. Soiński spotkał się z nią w tym mieście, dokąd miesiąc wcześniej został oddelegowany z Warszawy (zdemobilizowany został w 1950 r.), aby podjąć pracę jako ekonomista, w Wojewódzkim Zarządzie Wodnych Melioracji, kontynuowaną do emerytury w 1974 roku.

Maszynopis Witolda Soińskiego obejmuje jedynie okres kampanii wrześniowej 1939 roku. Tekst publikowany jest w całości, a ingerencje dotyczą nielicznych błędów maszynowych bądź interpunkcyjnych.

Wspomnienia

W miesiącu sierpniu 1939 r. na Białostocczyźnie na pograniczu z Prusami Wschodnimi w rejonie twierdzy Osowiec-Grajewo-Białystok odbywały się letnie ćwiczenia dywizyjne z udziałem 10-go pułku ułanów litewskich, stacjonującego w Białymstoku i 9-go pułku strzelców konnych w Grajewie. W ćwiczeniach tych brał udział szwadron pancerny, wzmocniony plutonem czołgów rozpoznawczych z 7-go Batalionu Pancernego Grodna. Dowódcą broni pancernych byłem ja porucznik Witold Soiński.

Na początku III-ciej dekady sierpnia 1939 roku, kiedy spożywałem z oficerami kolację w kasynie oficerskiej w 10 pułku ułanów litewskich w Białymstoku, otrzymałem telefonogram z treścią następującą: natychmiast wracać z całym oddziałem pancernym do 7-go Batalionu Pancernego w Grodnie. Zarządziłem alarm i w nocy forsownym marszem odeszliśmy z Białegostoku do Grodna. Mobilizacja alarmowa rozpoczęta – przydział mój na wypadek wojny – 33 Wydzielony Dyon Pancerny w Wilnie (skład Dyonu – 8 samochodów pancernych i 13 czołgów rozpoznawczych dwutonowych. Uzbrojenie – 17 karabinów maszynowych typu „Hotschikis”

i 4 działka p.panc. typu „Pitux”). Moją jednostką macierzystą, jak już wspomniałem, był 7 Batalion Pancerny stacjonujący w Grodnie, dowodzony przez podpułkownika Piotra Rudzkiego. W Batalionie tym byłem dowódcą szwadronu pancernego.

W dniu 25 sierpnia na dworcu w Grodnie żegnała mnie żona z 2-letnim synem, również Witoldem. Pożegnanie na „krótko” – bagatelka – na siedem bitych lat. Żona zawiesiła mi na szyi, mały złoty ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej na łańcuszku. Przez całe siedem długich lat z tym ryngrafem nie rozstawałem się nigdy. Towarzyszył mi w każdej groźnej i niebezpiecznej chwili.

Razem ze mną do Wilna jechał również kolega mój i przyjaciel porucznik Sławomir Iwiński, oficer 7-go Batalionu Pancernego z Grodna. Dzielny to był i odważny oficer naszego Dywizjonu. W tym samym dniu byłem już w Wilnie. Zameldowałem się u dowódcy Dywizjonu kapitana Władysława Łubieńskiego. Adiutantem dowódcy Dywizjonu, był porucznik Wacław Stradomski. Dywizjon był już w trakcie poczynań mobilizacyjnych. Mobilizacja alarmowa przechodziła bardzo sprawnie, szybko i spokojnie, bez żadnych zakłóceń. Otrzymałem przydział służbowy, wyznaczono mnie na dowódcę 1-go plutonu samochodów pancernych w szwadronie.

Pamiętam jak dziś, że z wypłaconych mi na umundurowanie pieniędzy w sumie 300 zł, kupiłem za 240 zł zegarek marki „Longines” u jubilera na ulicy Wielkiej, obok Katedry – najdroższy (oprócz złotych) jaki był w sklepie. Zegarek ten noszę do dziś, jako pamiątkę z Wilna i z pamiętnego września 1939 roku.

W dniu 27 sierpnia 1939 roku otrzymałem rozkaz od dowódcy Dyonu, aby udać się na dworzec kolejowy Wilno, w charakterze oficera łącznikowego między Dywizjonem, a kometantem pułkownikiem kierującym jednostki transportu kolejowego na miejsca koncentracji. Moje miejsce postoju – dworzec kolejowy – Wilno. Nocleg w miarę wytworny, przedział w „Salonce”, którą jeździł Marszałek Piłsudski, a przedtem matka cara Mikołaja II-go Maria Fiodorowna (relacja starego kolejarza nadzorującego wagon salonki). Dlatego nad tym się rozwodzę, gdyż sypialnia pojedynka gdzie spałem, była przepojona zapachem perfum i wonnych olejków. Wonności ulatniały się z drzewa umywalki, która stała w kącie przy oknie przedziału. Co za perfumy – a jakie trwałe, jaka musiała być chemia wówczas, jeżeli po 50 latach jeszcze oddawały przyjemną woń i zapach, ale tego dosyć, to wspomnienie niezapomniane dla nosa nie dla serca.

Dnia 30 sierpnia wieczorem, powiadomiłem Dywizjon o podstawieniu taboru kolejowego i godzinie załadowania naszego Dyonu. Mając do dyspozycji motocykl z przyczepą, pojechałem do dowódcy Dywizjonu i zameldowałem o miejscu, numerze rampy i godzinie załadowania. Dyon w tym czasie stał w pogotowiu marszowym na peryferiach miasta Wilna na działkach leśnych. Załadowanie odbyło się szybko i sprawnie – transport tego samego

wieczoru tzn. 30 sierpnia, drogą okrężną przez Warszawę poszedł na Zachód, na miejsce koncentracji, bliżej nieokreślonej. W trakcie jazdy na stacjach kolejowych, społeczeństwo nasze witało nas kwiatami, piwem, winem, papierosami i innymi smakołykami, atmosfera serdeczna, przyjemna miła i przede wszystkim wielce patriotyczna na całym szlaku przejazdowym. W godzinach rannych 1-go września przejechaliśmy most na Wiśle. Warszawa już była bombardowana przez niemiecką „Luftwaffe”, słychać było wybuchy bomb, rozpryski granatów artylerii przeciwlotniczej, ryki syren itp.

Po przejechaniu Wisły, transport nasz był w czasie jazdy kilkakrotnie bombardowany przez samoloty niemieckie, lecz bez skutku; duża wysokość pułapu, mała celność, niektóre bomby zaryte na nasypach kolejowych tuż obok wagonów nie eksplodowały (niewypały). Takich trzymetrowych cielaków naliczyliśmy po nalocie wzdłuż całej długości transportu, aż siedem sztuk. Czołgi ustawione na lorach wagonowych na początku transportu i na końcu były najeżone karabinami maszynowymi na specjalnych obudowaniach p.lot. zainstalowanych przy czołgach obok z celownikami przeciwlotniczymi z pierwszej wojny światowej typu „Casola-Ba”. W czasie nalotów karabiny maszynowe grzały na cały regulator, aż do czerwoności luf, ale niestety bez skutku, to znaczy był skutek ten, że samoloty nieprzyjaciela bały się bombardować z niższego pułapu lotem koszącym względnie nurkowym i to nas w znacznej mierze uratowało od strat w ludziach i sprzęcie.

Po osiągnięciu stacji przeznaczenia w nocy, gdzieś w rejonie na Zachód od Piotrkowa Trybunalskiego, zastaliśmy dużo oddziałów wyładowującej się kawalerii. Na stacji na torach bocznych stały lukstordy z czerwonym krzyżem. W jednej nadeszłej z Zachodu torpedzie wielu ciężko rannych. Po chwili postoju ruszyła zaciemniona cicho w kierunku Łodzi. Po wyładowaniu z prowizorycznych ramp podstawianych do wagonów i lor, które świetnie i niezawodnie zdały egzamin. Dyon w pełnym składzie odszedł do lasu odległego około 5 km na zachód od Piotrkowa, jako odwód rozpoznawczo-uderzeniowy Wileńskiej Brygady Kawalerii. Pojazdy pieczołowicie zamaskowano wystawiając ubezpieczenie ziemne i z powietrza, łączność z Brygadą nawiązano.

Chcę tutaj nadmienić, że zgrupowanie nasze było w promieniu ca 1 km od ogromnego podziemnego magazynu amunicyjnego (prochowni) zaopatrującego armię względnie wyżej w amunicję wszelkiego typu i sprzęt precyzyjny artyleryjski. Na miejscu dywizjon nasz otrzymał nowy sprzęt w postaci karabinów przeciwpancernych. Nowa broń przeciwpancerna polskiej konstrukcji, nie w pełni wykorzystana podczas kampanii wrześniowej. Przeszkolono oficerów i szeregowych w obsłudze nowego sprzętu. Tymczasem wraże samoloty „Luftwaffe” stale krążą i wypatrują co jest w lesie.

Artyleria przeciwlotnicza brygady i nasze karabiny maszynowe stale w akcji – pułap wysoki, pociski p.lot. rozrywają się ciągle obok samolotów i tak wyglądało, jakby nie dochodziły do

samolotów. Widzimy z daleka przez lornetki jak Piotrków – dworzec kolejowy jest bombardowany lotem nurkowym przez „Stukasy” – dworzec pali się, dużo rannych i zabitych, akcja straży pożarnej w toku. Na szlaku kolejowym niedaleko nas zbombardowano pociąg pospieszny jadący do Warszawy, ranni kolejarze i pasażerowie z pociągu otrzymują pierwszą pomoc sanitarną i żywność u nas w dywizjonie.

Będąc w mieście Piotrkowie Trybunalskim na śniadaniu przeżyłem nie lada emocję. Podczas nalotów na miasto postanowiłem wrócić szybko do lasu do naszego miejsca zgrupowania. Zostałem jednak zaatakowany przez pojedynczy samolot – myśliwiec niemiecki, który dosłownie na przestrzeni kilku km szosy gonił i polował na mnie strzelając gęste serie z karabinu maszynowego, dawałem pełny gaz i raptownie zatrzymałem motocykl, i w ten sposób uniknąłem nieprzyjemności pójścia przedwcześnie do Abrahama na wieczny spoczynek.

Nie pamiętam, który to był dzień, ale chyba trzeci września: nadciąga zmierzch, lekki chłodek po upalnym dniu wrześniowym. Nad samymi wierzchołkami drzew sosnowego lasu sunie na małych obrotach samolot ze swastyką, jakby uszkodzony, sprawia wrażenie, że szuka większej polany leśnej do lądowania. Natychmiast dostaję rozkaz od dowódcy dyonu wziąć patrol w sile 12 ludzi z przewodnikiem, z bronią i zbadać sytuację: odnaleźć samolot, załogę wziąć do niewoli, odprowadzić do sztabu brygady. Klucząc z przewodnikiem, który znał teren i sytuację miejscową – dużo było osad kolonistów niemieckich na tym terenie, dobrnąłem z patrolem do zabudowania – osada pojedyncza, przewodnik mówi, że tu gospodarzem jest kolonista niemiecki. Podchodzę do domu z wisem (typ pistoletu polskiego, kaliber 9 mm) gotowym do strzału, każę otwierać – wojsko wychodzi z chałupy. W chałupie ciemno, żywej duszy nie słyhać. Po chwili krzyknąłem, że jeżeli nikt nie wyjdzie to podpalę chatę i już część strzelców zaczęło znosić snopki ze stogu obok do podpalenia domostwa. Trwało to wszystko około pięciu minut. Po tym czasie otworzyły się drzwi chałupy, wyszedł chłop i 3 lotników z „Luftwaffe”. Ręce do góry krzyknąłem. Ci których rewidowałem broni nie mieli. W chałupie więcej ludzi nie było – pytam się ich gdzie samolot na którym wylądowali „wo ist kampffleugzeug”. Pokazują mi, że „hier im Walde” i faktycznie w odległości około 300 m stał na polanie samolot. Po zabezpieczeniu samolotu przez wystawienie wartowników kazałem bezpośrednio kapralowi Sienkiewiczowi z 5 ludźmi odprowadzić pod eskortą zatrzymanych lotników niemieckich do sztabu brygady, z resztą patrolu oprócz wartowników przy samolocie, wróciłem do dywizjonu, po wykonaniu zadania. Rano następnego dnia dowiedziałem się od kaprała Sienkiewicza, że Niemcy korzystając z ciemności próbowali ratować się ucieczką, na krzyki „Halt” nie reagowali, wydał rozkaz strzelania. Wszyscy zostali zabici razem z kolonistą.

W dniu 4-go września dywizjon w składzie brygady przechodzi marszem w kierunku wschodnim do miejscowości Sulejów nad Pilicą i przed rzeką w bok na południe w rejon wsi

Zacisze, na miejsce nowej koncentracji brygady. Z zadaniem przygotowania uderzenia całą armią „Prusy” na zgrupowanie niemieckie w rejonie miejscowości Radomsko. Do uderzenia tego nigdy nie doszło w związku z sytuacją ogólną na frontach i ostatecznie odwołanego przez generała Dąb-Biernackiego – dowódcę armii „Prusy” (podczas wojny za nieudolne prowadzenie armii w kampanii wrześniowej był pozbawiony dowodzenia na zachodzie przez generała Władysława Sikorskiego i osadzony w areszcie domowym, względnie karnym obozie w Szkocji).

Podczas tych dni miał miejsce następujący krwawy incydent. Po odwołaniu koncentracji w rejonie nakazanym, dywizjon marszem z Zacisza odszedł w rejon Sulejowa nad Pilicę. Sulejów w międzyczasie był kilkakrotnie bombardowany i doszczętnie spalony, oprócz kościoła i mostu na Pilicy. W rejonie Zacisza (nazwy wsi dokładnie nie pamiętam) dywizjon pozostawił podoficera (nazwiska nie pamiętam) z motocyklem. Z zadaniem kierowania patroli powracających na oś marszu do Sulejowa. Będąc we wsi przed zapadnięciem wieczoru, podoficer zauważył grupę ludzi w sile 5 cywilów maszerujących ulicą wsi, szybko niepewnie oglądających się, wydali się mu podejrzani. Kazał zatrzymać się, odległość mała, rozkazu nie usłuchali, zaczęli uciekać, krzyknął jeszcze raz, że jeżeli nie zatrzymają się będzie strzelał, nie usłuchali rozkazu, padły strzały z „wisa” celne i niezawodne, 5 położył trupem. Jak się później okazało była to załoga 4-osobowego niemieckiego samochodu pancernego „Kampfwagena” operującego daleko na tyłach naszej jednostki, 5 osobnik cywil, mieszkaniec okolicznej wsi, który prawdopodobnie przeprowadzał ich do oddziałów niemieckich na zachód od wsi Zacisze w kierunku Radomska.

Po tym zajściu w godzinach wieczornych z rozkazu wyższego dywizjon ponownie wrócił do wspomnianej miejscowości, gdzie zastał finał wymienionego incydentu. Na miejscu leżało 5 trupów obok siebie, przy czterech zabitych znaleziono znaczki tożsamości Wehrmachtu, metrykę samochodu pancernego, numer rejestracyjny i pęk kluczy samochodowych. Zabitymi byli leutnant – dowódca wozu pancernego i trzech podoficerów niemieckich. Piątego zabitego cywila zabrała żona z tej miejscowości. Przy leutnancie niemieckim w kieszeniach dodatkowo znaleziono marki niemieckie, złote polskie, mapy terenów okolicznych, między innymi fotografię narzeczonej, ładnej blondyneczki, „Grethen”, książeczkę do nabożeństwa i 10 sztuk kondomów (środków antykoncepcyjnych), widać przygotował się ostro na „polnische mädchen”, ale niestety nie powiodło się, położył główkę biedaczek.

Dnia następnego, zostałem wyznaczony z plutonem samochodów pancernych do osłony sztabu brygady rejon wsi Zacisze. Tutaj brałem czynny udział w walce z trzema samochodami pancernymi niemieckimi, które wyszły na sztab brygady. Na przedpolu pokazały się 3 samochody niemieckie, moje samochody stały na skraju lasu, zamaskowane gotowe do strzału. Dopuściłem Niemców na odległość ca 700–800 m i otworzyłem ogień z działka

przeciwpancernego, w tym samym czasie okopane działko przeciwpancerne spieszony kawalerii również otworzyło ogień – jeden samochód stanął na przedpolu, dwa dalsze widząc unieruchomienie kolegi szybko skryły się za wzgórze i wpadły w bagno. Wysłana obserwacja boczna później doniosła, że niedaleko właściciel tartaku, Niemiec jak się później okazało, doniósł deski, celem ratowania i wyprowadzenia z bagna dwóch samochodów pancernych na twardą drogę.

Wysłano patrol z brygady, który stwierdził odejście tych samochodów na zachód. Jeden zastrzelony samochód na chodzie został uruchomiony i sprowadzony przez naszą załogę do sztabu brygady. Byłem świadkiem jakiego spustoszenia czyni rozerwanie pocisku wewnątrz samochodu. Załoga czteroosobowa samochodu pancernego niemieckiego była wybita, ludzie bez głów, nóg, rąk – makabra niesamowita. Na zdobytym samochodzie olejną białą farbą napisano „polski”, miał dwie dziury z przodu od naszych działek przeciwpancernych. Sprowadzony przez patrol cywil – właściciel tartaku, Niemiec z pochodzenia, został odprowadzony i rozstrzelany w lesie przez pluton egzekucyjny wyrokiem sądu polowego. Zapytany cywil przed śmiercią przez dowódcę Wileńskiej Brygady Kawalerii Pułkownika dyplomowanego Konstantego Drucki-Lubeckiego, dlaczego to zrobił powiedział: a czy pan, jeżeli byłby Niemcem zrobiłby inaczej? Żona cywila rzuciła się pod nogi pułkownika prosząc o łaskę „trudno, wojna”, nie ma pardonu w takich wypadkach.

Uratowane przez właściciela tartaku – Niemca samochody pancerne – zgromadziły wrogie samoloty nieprzyjaciela, które doszczętnie zmiotły i spaliły całą wieś Zacisze, w środku lasu jako rzekome stanowisko dowodzenia sztabu brygady. Dosłownie cały sztab 500 m dalej mieścił się obok w lesie, nie ponosząc żadnych strat, ani w ludziach, ani w sprzęcie wojennym. Tutaj chcę zaznaczyć, że przejeżdżając przez palącą się wieś z plutonem samochodów pancernych stwierdziłem, że domy, które miały wystawione w oknach obrazy święte nie uległy spaleni, tak jakby były pod opieką niewidzialnej siły nadprzyrodzonej – to mi na bardzo długo utkwilo w pamięci.

Nad ranem dołączyłem do dywizjonu i marszem odeszliśmy przez Pilicę w Sulejowie na drugi brzeg rzeki. W lesie uzupełniono sprzęt, amunicję, paliwo, żywność i naprawiono uszkodzenia. Tymczasem na przyczółku mostowym w Sulejowie walki frontalne. Piękny most zostaje wysadzony w powietrze, na moście tym przez nieuwagę ginie mój kolega z jednej ławy szkolnej z Oficerskiej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu, porucznik Brzozowski Franciszek, oficer szwadronu pionierów. Na przyczółku mostowym ginie również major Marciniak – dowódca batalionu 76 pułku piechoty Grodno.

Otrzymujemy rozkaz wycofania się szosą w kierunku na Radom przez Opoczno, Przysuchę. Przy posuwaniu się marszem kołowym – cały czas jesteśmy nękani bombami lotniczymi, ciągle naloty, strat żadnych nie ponosimy. Szosa zasłana trupami końskimi, wozami cywilnymi,

trupami ciał ludzkich, czasami trudno przejechać, trzeba oczyszczać drogę, spychając przeszkody do rowu lub na skraj szosy.

Pod wieczór jesteśmy na przedpolach miasta Radomia. Tutaj przebywa generał Dąb-Biernacki, od którego otrzymuję bezpośredni rozkaz o natychmiastowym przejściu marszem ubezpieczonym plutonem samochodów pancernych do Przytyku. Opanować most na rzece Szabasówka w Przytyku i do rana dnia następnego trzymać most, aż gross oddziałów naszych nie przejdzie na tę stronę rzeki. Przed odejściem most wysadzić w powietrze. Powiedziałem „tak jest, ale mostu nie wysadzę, bo nie mam na to środków wybuchowych etatowych potrzebnych do wysadzenia tak dużego stosunkowo mostu”. „To niech pan robi tak, żeby było dobrze”, powiedział generał.

Wykonanie zadania było sprzeczne z regulaminem taktycznym użycia broni pancernych w nocy bez osłony. Jednak pojechałem, jechałem jako pierwszy na odległościach skróconych wóz za wozem. Po drodze pełno uciekinierów konnych, pieszych i furmanek spieszących na wschód. Ja jadę przeciwko fali, spotykam zwartą grupę cywili około 50 chłopów, tak jakby umundurowani – pytam co za jedni, świecę latarką, a my jesteśmy więźniowie z Sieradza odpowiadają, więźniów rozpuszczono, spieszymy do Warszawy, aby bronić stolicy przed Hitlerem, pojechałem dalej. Myślę sobie patriotyczny ten nasz Naród tyle siedział w więzieniu, a jak Ojczyzna w niebezpieczeństwie to wszelkie urazy na bok i dalej bronić Ojczyzny za wszelką cenę.

Po drodze spotkałem dużo piechoty, artylerii i kawalerii maszerującej w kierunku na Radom. Z takim samym zadaniem ale inną trasą w sile plutonu czołgów rozpoznawczych poszedł porucznik Sławomir Iwiński, również na most na rzece Szabasówce w kierunku miejscowości Przysucha. Po paru godzinach marszu nocnego dojechałem do Przytyku na most na rzece Szabasówce. Ustawiłem dwa samochody pancerne po dwóch stronach mostu, trzeci trochę dalej w głębi ewentualnej osłony i ognia na wprost ulicą, gdyby nieprzyjaciel próbował nacierać od czoła. Po zabiegach zabezpieczających przystąpiłem do penetracji mostu, tak jak przypuszczałem most był drewniany, nowy, pale grube i gęsto bite po brzegach rzeki. Chcąc wysadzić most i zniszczyć go doszczętnie, trzeba było minimum od 20–25 kg trotylu – ładunkiem przyłożonym.

W każdym wozie pancernym etatowo było zaledwie od 1–2 kg trotylu w paczkach kilogramowych, lub kostkach à 200 g. Na wiercenie i zakładanie naboju wiertniczych (wtedy by poszło materiału wybuchowego o wiele mniej) nie było mowy, brak przyrządów do tego celu, brak również kostek trotylowych i wiertniczych – zadanie było nie do osiągnięcia i wykonania. Na pirotechnice trochę, a może nawet dużo znałem się, lubiłem ten przedmiot i w szkole oficerskiej miałem ocenę najwyższą, bo aż „10” – w szkole system stopni był dziesiętny. Obserwowane przedpole w kierunku zachodnim przedstawiało niebo pokryte łunami

pożarów. Niemcy przez cały czas kampanii stosowali następującą taktykę – robili sobie specjalnie z nocy dzień, wznecali umyślne pożary, aby ich nie zaskoczono w ciemnościach. W międzyczasie przez most przechodziły stale wszelkie formacje wojskowe piesze i konne. Między innymi 13-ty pułk ułanów z Nowowilejki i 4-ty pułk ułanów Zaniemeńskich z Wilna.

Mój macierzysty pułk, w którym miałem zaszczyt służyć do roku 1937 po ukończeniu szkoły oficerskiej. Pułk ze sztandarem prowadził rotmistrz Józef Abramowicz. Pyta się mnie, jak długo będę tutaj dozorować, odpowiedziałem, że zgodnie z rozkazem generała Dąb-Biernackiego do rana dnia następnego, a potem? Potem mam zamiar podpalić most – odpowiedziałem. Człowieku, czyś ty oszalał, przecież po tamtej stronie pełno naszego wojska, oni jeszcze będą szli kilka dni, a co zrobią bez mostu, mają iść do niewoli czy co? Przekonał mnie ten stary wiarus czwartak – mostu nie spaliłem. Trwałem na stanowisku do godziny 10.00. Około godz. 10.00 ruszyłem ponownie do Radomia.

W Radomiu nalot, bez zatrzymania się z klapami zamkniętymi skierowałem się na szosę do Zwolenia, za miastem spotkałem łącznika dywizjonu, wskazał mi miejsce postoju dywizjonu – las niedaleko szosy zwoleńskiej. W lesie odpocząłem, ludzie też. Uzupełniono sprzęt, amunicję i żywność. Wieczorem zmiana postoju – las w kierunku Zwolenia. Od rana przygotować dywizjon do odparcia frontального Niemców z kierunku Radomia szosą na Zwoleń. Do akcji tej użyto dwóch plutonów samochodów pancernych, jeden pluton z podporucznikiem „Czarny Wąsik” (nazwiska oficera nie pamiętam) szosą na Radom i drugi pluton samochodów pancernych pod moim dowództwem drogą polną biegnącą równoległe do niej na północ. Spotkanie z Niemcami nastąpiło w połowie drogi na szosie między Zwoleniem, a Radomiem. Walka krótka, ale skuteczna dla naszej strony. Niemcy zostali powstrzymani przez dwa dni na tym kierunku. Uderzenie frontalne po szosie i mojego z boku kompletnie Niemców zaskoczyło, nieprzyjaciel stracił dwa samochody pancerne i kilka samochodów ciężarowych przewożących piechotę zmotoryzowaną. Po naszej stronie strat w ludziach i sprzęcie nie było.

Przypomniał mi się trochę śmieszny incydent z tego boju. Podczas akcji wóz mój otrzymał takie głuche uderzenie po pancerzu i po pewnym czasie czuję, że robi mi się ciepło w kieszeni, myślę sobie chyba jestem ranny, trafił mnie pocisk, sięgam do kieszeni, a ręka tłusta, krwi nie ma, zamiast krwi oliwa, wyciekła z bańki jak się okazało – pocisk przebił pancerz samochodu, bańkę na półce na wysokości pasa, a z bańki oliwa wlewała się ciurkiem do mojej kieszeni. Miałem szczęście, że dostała bańka, a nie ja.

Przetrzepani Niemcy w tym dniu na tej arterii w ogóle nie pokazali się. Po południu marszem odeszliśmy w kierunku Puław przez Zwoleń. Po drodze nalot za nalotem. Zwoleń płonie cały, ulicą główną trudno jechać, języki ognia dosłownie czepiają się pojazdów. Na środku ulicy „żywa pochodnia” pali się wóz, ranny koń leży na ziemi, a na wozie w betach stary chory żyd w jarmułce – upieczeni żywcem. Po drodze mijają nas wozy osobowe. Pamiętam

na jednym z wozów osobowych widzę tabliczkę „starosta miasta Łodzi” zaglądam do środka wozu, prowadzi mężczyzna, siedzą kobieta ładna i dwoje małych dzieci. Dochodzimy do Puław. Od strony mostu na Wiśle otrzymujemy własne strzały artylerii i karabinów maszynowych, błyskawicznie cała kolumna jak za pociągnięciem sznurka zesza z szosy w dół za groblę. Byliśmy bezpieczni, jak się później okazało jeden z naszych był ranny rykoszetem. Po długich krzykach zaczęliśmy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła” nawiązaliśmy wreszcie kontakt z obroną mostu. Saperzy oczyścili przyczółek mostowy z założonych min i pojazd za pojazdem wolno posuwał się przez most na drugą stronę Wisły.

Przechodząc szosą na przyczółku zobaczyłem na ziemi rzuconą tabliczkę z napisem „Starosta miasta Łodzi” obok spalony samochód i zwęglone zwłoki ludzkie, dwa duże i dwa małe kadłubki. Pomyślałem sobie po co nas wymijał, po co się spieszył, gdyby jechał za nami uniknąłby śmierci takiej tragicznej w skutkach. Cała rodzina zginęła na własnych minach. tymczasem kapitan łubieński rzucał gromy na porucznika saperów – dowódcę obrony mostu w Puławach. Myślałem, że go zrzuci z mostu do Wisły, taki był wściekły, ale w końcu uspokoił się, czuł się bezpiecznie, bo miał Wisłę przed sobą. Po krótkim odpoczynku w Puławach odeszliśmy w lasy lubelskie, okolice Firleja.

W nocy tego samego dnia zostałem wysłany motocyklem w celu odszukania i nawiązania łączności z dowódcą Wileńskiej Brygady Kawalerii, który ze sztabem miał mieć gdzieś tutaj miejsce postoju. Po kilkugodzinnej jeździe po wertepach piaszczystych polnych i leśnych drogach złamany i zbity, głodny i niewyspany dobrnąłem w końcu szczęśliwie do Firleja – eureka, odnalazłem sztab brygady we dworze, a w nim podpułkownika Święcickiego Eugeniusza siedzącego za stołem i pijącego smaczne kwaśne mleczko z jajecznicą chyba z 20-tu jaj i omaszczone ziemniaczki na sucho. Nie omieszkał mnie zaprosić i poczęstować z czego chętnie skorzystałem, gdyż byłem głodny. Po spożyciu solidnej kolacji pyta się Eugeniusz po co przyjechałeś? Odpowiadam: po rozkazy dla 33 dywizjonu, a to świetnie zaraz załatwimy. Podpułkownik Święcicki był przed laty moim bezpośrednim przełożonym – zastępcą dowódcy 4-go pułku Ułanów Zaniemeńskich, wtedy, gdy jeszcze jako podporucznik po szkole służyłem w tym pułku. Po otrzymaniu koperty z rozkazami odmeldowałem się i pojechałem do Dyonu. Wstawał rano i dzień budził się do życia.

I znowu marsz forsowny w większym zgrupowaniu w kierunku Tomaszowa Lubelskiego przez Janów Lubelski, Zwierzyniec, z zadaniem przebicia się na południe. Po nalocie lotniczym w Janowie Lubelskim przyłapaliśmy razem z porucznikiem Iwińskim dwóch żołnierzy, ciurów uprawiających zwykły rozbój: rabowanie trupów, szperanie po kieszeniach, zdejmowanie kosztowności z rąk palców, uszu itd. a nawet na niektórych pierścieniach stwierdziłem krew. Musieli odrąbywać bagnietami palce rąk względnie dłoni, żeby zdjąć pierścionek lub bransoletę. Pod groźbą użycia pistoletów odebraliśmy dwa pełne chleba kosztowności

i wysypaliśmy zawartość do pobliskiego stawu. Nie mając pod ręką żandarmerii polowej skuliśmy jednemu i drugiemu mordy i puściliśmy ich wolno z rozbitymi pyskami. Chyba odechciało się im na dłuższy okres uprawiać ten sport.

Od Janowa Lubelskiego zgrupowanie szło marszem ubezpieczonym. Z plutonem samochodów pancernych zostałem wyznaczony na szpicę. Droga ciężka piaszczysta, przeważnie leśna. Silniki grzeją się, trudno jechać, wybieram twardsze odcinki drogi, aby zwiększyć szybkość. Marsz trwa długo, przejechaliśmy kilkadziesiąt kilometrów. Tomaszów Lubelski coraz bliżej. Kończy się las, na przedpolu widzę wieś, we wsi samochód pancerny niemiecki – otwieram ogień z armaty przeciwpancernej ze swego samochodu i z 2 karabinów maszynowych z następnych samochodów pancernych. Padają strzały, kurz, kotłowanina we wsi, odległość około 500–600 m. Niemcy odpowiadają strzałami, zostaje ranny plutonowy Renke. Wpadam do wsi, Niemca już we wsi nie było. Mieszkańcy wsi meldują, że był tutaj niemiecki samochód pancerny i 4 Niemców, ale jak zobaczyli ogień z lasów i polskie oddziały, to pozostawili te gęsi, które sobie przyrządzali i mundury na płotach i w nogi. Skubali gęsi w koszulach, zawieszając mundury na płocie.

Po przejściu wsi i wystawieniu ubezpieczenia przez piechotę – zgrupowanie zatrzymało się w lesie. Nadciągały oddziały kawalerii, artylerii, piechoty i łączności, wojska bardzo dużo – kilkanaście tysięcy. Na przedpolu w kierunku Tomaszowa Lubelskiego wysłano patrol rozpoznawczy w sile plutonu czołgów pod dowództwem chorążego Walentego Śliwińskiego z zadaniem rozpoznania nieprzyjaciela w rejonie Tomaszowa. Po drodze mój motocykl służbowy z kierowcą strzelcem Erdmanem zaginął. To samo stało się z wozem bagażowym, rzeczami osobistymi oficerów. Strzelec Weryszko – kierowca wozu i mój osobisty ordynans strzelec Piskunowicz korzystając z nocnego marszu i ciemności prawdopodobnie zdezerterowali ulatniając się z wozem i bagażami oficerów. Przykra to sprawa, ale prawdziwa, zostałem w polowym ubraniu drelichowym i podniszczonych butach, całe szczęście, że została mi jeszcze skóra (czarny płaszcz skórzany, używany przez naszą broń pancerną). Do późnych godzin wieczornych opracowano plan dalszego działania.

Przed świtem w składzie 7 czołgów ja i porucznik Iwiński zajęliśmy postawę wyjściową do natarcia. Według rozeznania własnego, nieprzyjaciel okopany kilka km przed Tomaszowem. Punktualnie na umówiony czas wg rozkazu silniki „w ruch” i na pełnych obrotach ruszyliśmy do natarcia. Obok naszego natarcia w lewo nasza artyleria kładzie ogień. Obserwuję przez peryskop, lekka mgła, słaba widoczność. Widzę Niemców okopanych, otwieram ogień, Niemcy uciekają, pociski są szybsze jednak, padają zabici, ranni, podnoszą ręce do góry, nasze czołgi szerokim odcinkiem strzelają i walą na wprost naprzód. Nie ma zatrzymania, przestrzeń otwarta, niebezpieczna, jak najszybciej przebyć, las na przedpolu, niedaleko w lesie pojazdy nieprzyjaciela, uciekają w popłochu, strzały, lufy czerwone, znowu padają

zabici Niemcy. Zaskoczenie całkowite, przejeżdżamy między pozostawione pojazdy mechaniczne wroga, patrząc czy wszystkie czołgi całe. Dzięki Bogu wszystkie doszły bez strat. Za nami w tyralierze nasza piechota, zatrzymujemy się na przedmieściach Tomaszowa w lesie, piechota przechodzi przed czołgi, okopuje się. Zwycięstwo, ale nie całkowite, naraz piechota cofa się, z prawej strony wychodzą na nas ciężkie czołgi niemieckie, widzę daleko duża masa okropny ryk silników, nie poradzimy cofamy się około 1 km – za osłonę naszych własnych działek przeciwpancernych, które okopane stały na całej linii czekając na ciężkie czołgi niemieckie, aby je poczęstować. Niemcy jakby wyczuli tę sytuację i zawrócili do Tomaszowa.

Pierwszy bój został skończony, przejścia przez Tomaszów nie osiągnięto. W nocy przy wsparciu artylerii, która idzie w pierwszym rzucie, a za nią czołgi, samochody pancerne i wszystkie formacje wojskowe całe zgrupowanie długą kolumną przemy na Tomaszów Lubelski. Chcemy zaskoczyć nieprzyjaciela, przerwać się, jednak Niemcy są czujni, otwierają morderczy ogień pociskami świetlnymi, moc rakiet świetlnych w powietrzu. Z nocy robi się dzień. Są zabici, zostaje ugodzony w samo czoło sierżant majster wojskowy Szczepan Gadziński, rannym zostaje kapral Beltz Eugeniusz, podchorąży plutonowy Palczewski Stanisław, któremu czołg miażdży nogę. Artyleria nasza bije na wprost ogniem z uporu. Dowódca baterii kapitan przeszyty kulami świetlnymi i zapalającymi pada nieżywy. Po prostu „piekło” cała masa pocisków świetlnych, jesteśmy widoczni jak na dłoni. Niemcy za dnia musieli się wstrzelać i przygotować zapory i kierunki ogniowe. Nie ma ratunku trzeba się cofać, jak najprędzej zejść z pola ostrzału. Zawracam czołgi i ostrożnie między poległymi towarzyszami broni odchodzimy do tyłu do lasu. Bój drugi pod Tomaszowem skończony. Przebicie się „szydłem” przez Tomaszów na południe nie udało się po raz wtóry. Jakie były straty w zabitych i rannych trudno powiedzieć, w każdym razie nasi lekarze w lazarecie polowym mieli bardzo dużo roboty przez całą noc i dzień następny.

Odczuliśmy i przeżyliśmy niepowodzenie bardzo, ze Sławkiem (por. Iwiński) przez dłuższy czas płakaliśmy jak małe dzieci. Pierścień niemiecki wokoło nas zacieśniał się coraz bardziej. Przed południem, gdzieś około godz. 10.00 rozgorzała znowu strzelanina. Wydałem rozkaz do wozów i czołgów. Kapral Sienkiewicz wierny towarzysz i mój powiernik zamykając klapę samochodu pancernego dostał kulę w samo czoło, zsunął się na siedzenie martwy, z przebitą głową. Patrząc co się dzieje – przede mną w odległości 100 m, pluton piechoty niemieckiej w sile ok. 30 ludzi z oficerem na czele w tyralierze. Niemcy krzyczą „hände hoch”, wysłałem rozkaz ognia ze wszystkich czołgów i samochodów pancernych. Pluton niemiecki padł i leżąc pod skutecznym ogniem naszych karabinów maszynowych jak na patelni (polanka leśna). Wystrzelali byśmy wszystkich co do jednego, połowa zginęła, rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Ogień natychmiast kazałem przerwać, wychodząc z czołgu z Wisem gotowym do strzału, kazałem zbliżyć się oficerowi niemieckiemu do mnie, a ten jak długi rzuca mi

się do nóg i błaga o życie, mówiąc „ich bin Winer” ja jestem wiedeńczykiem, a nie Niemcem. Powiedziałem, że Polacy to nie barbarzyńcy i jeńców nie zabijają. Uspokoił się i zaczął uśmiechać się do mnie. Rzuciłem okiem na oficera był w stopniu oberleutnanta (porucznik) przystojny młody mężczyzna z czarnym wąsikiem a la` Hitler. Raptem co widzę, przez ramię oficera przewieszony mapnik z żółtej świńskiej skóry. Poznałem ten mapnik był chorążego Śliwińskiego, dowódcy plutonu czołgów, który kilka dni temu wyszedł na rozpoznanie rejonu Tomaszowa Lubelskiego. Pytam się skąd ma ten mapnik, a to jest mapnik Waszego oficera, który dostał się z całą załogą przedtem do niewoli. Wszyscy żyją i jemu jest dobrze w naszej niewoli, powiedziałem mu, że jeżeli skłamał to będzie oddany pod sąd polowy i rozstrzelany. Odebrałem mapnik, a w nim upragnioną mapę terenu, gdzie byliśmy, a których na stanie u nas nie było, a jeżeli było to bardzo mało na szczeblu wyższym. Jeńców kazałem odprowadzić do sztabu zgrupowania. Oficer Wiedeńczyk wyprężył się przede mną zasalutował i odmaszerował. Niedługo cieszyłem się mapą, wypożyczyłem ją majorowi piechoty na wieczne oddanie. Tymczasem wiernego kolegę i przyjaciela kaprała Sienkiewicza pochowaliśmy w lesie z honorem wojskowym, oddając salwę z karabinów maszynowych i pistoletów pod sosną z krzyżem z białej brzozy z hełmem pancernym.

I na tym zamyka się jeden z małych udziałów kampanii wrześniowej 33 wydzielonego dywizjonu pancernego Wilno. Po zniszczeniu i wysadzeniu samochodów pancernych i reszty czołgów oraz zakopaniu broni i amunicji – załoga poszła w rozsypkę. Jedni trafili do niewoli, drudzy na wieczną tułaczkę, a inni walczyli w Polsce podziemnej lub na Zachodzie u generała Stanisława Maczka w I dywizji pancernej.

Ja osobiście z porucznikiem Sławomirem Iwińskim dostałem się do niewoli niemieckiej w okolicach Lubartowa.

A September 1939 memoir by a Panzer Member Of 33rd Autonomous Division „Wilno”

Keywords

memoir, army, September 1939, World War II

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Witold Soiński, *Wspomnienia z września 1939 roku towarzysza pancernego 33 Wydzielonego Dywizjonu Pancernego Wilno*, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2014, nr 2 (3), s. 101–113.